



## Wywiad z Anną Czerwińską

na temat książki „GórFanka w Karakorum 1979-1986”

Czego młodzi czytelnicy mogą dowiedzieć się o tych nieco zamierzchłych już czasach z twojej książki?

Porównując chociażby tę naszą drogę przez mękę, która prowadziła pod każdą górę, a nie mówię tu o karawanie, tylko o tych kwestiach organizacyjnych, ile zespół musiał się napracować, żeby być gotowym do wyjazdu, to mam wrażenie, że młodzi czytelnicy mogą dostrzec, że była to zupełnie inna rzeczywistość. W tej chwili, gdy się chce wyjechać na wyprawę, to tak naprawdę trzeba mieć tylko pieniądze. A mając pieniądze, można zrobić wyprawę zaledwie w trzy tygodnie.

Poza tym, co można zauważyć z tej książki, są to wszystko w miarę ambitne próby, czy też ambitne działania – nowa droga na Rakaposhi, kobiece wejście na Nangę Parbat, na Broad Peak, kobieca wyprawa na K2, polska wyprawa na *Magic Line* w 86 roku, to są jednak ambitne cele. A w tej chwili, takie odnoszę wrażenie, ludzie mają łatwiejszy dostęp do gór, a mimo to wybierają sobie łatwiejsze cele. Owszem, Piotrek Morawski działał bardzo ambitnie, ale większość młodzieży ma takie podejście, że po prostu chce daną górę tylko zaliczyć. Może nie mówię tu konkretnie o Karakorum, ale młodzi chcą zaliczyć Mont Blanc, Aconcaguę, Kilimandżaro, a potem już nie ma co zaliczać, więc może Everest, ale Everest jest drogi... Tej młodzieży nie przychodzi do głowy, żeby zaatakować jakieś trudne siedmiotysięczniki. Może ta książka ich trochę do tego zdopinguje. Bo na pewno są ambitni ludzie zdolni do tego, ale albo nie mają pieniędzy, albo nie potrafią tego zorganizować, na pewno są rezerwy w młodzieży. Zresztą teraz jadę z młodymi ludźmi na Mustakatę, więc może się te rezerwy odnajdą.

**Czy nie odnosisz wrażenia, że obecne oblicze alpinizmu, w porównaniu do tamtych czasów, nieco złagodniało, coraz mniej jest śmiałych wyzwaniań, bardziej liczy się medialna strona przedsięwzięcia?**

W tej epoce, którą obejmuje omawiana książka, w naszej prasie nie było równoległe żadnych informacji o wyprawie, bo może to trudno niektórym sobie wyobrazić, ale była to epoka bez telefonów komórkowych i Internetu. Jedynie tragarze nosili listy, które docierały najpierw do tamtejszej polskiej ambasady, a ambasada wysyłała korespondencję do Polski. Zresztą w ten sam sposób do nas docierały listy z kraju.

Teraz stopień komunikacji jest taki, że ja, siedząc w bazie, nie wiem, co się dzieje w obozie

drugim, a już widzą o tym ludzie w Polsce albo na świecie, bo ktoś wysłał Internetem jakąś wiadomość. My zaś działaliśmy wtedy w kompletnej izolacji, a jak się weszło na szczyt, to się wysyłało tragarza z wiadomością, która docierała do kraju po wielu dniach. Byliśmy więc wszyscy tacy wyizolowani. Mnie zresztą to bardziej odpowiadało, niż taka dzisiejsza wyprawa, gdy człowiek jest jak na widelcu. Poza tym ludzie teraz czasami trochę przesadzają i odniesiony sukces, o którym wszem i wobec trąbią, wcale takim wielkim sukcesem nie jest. Czynią to chociażby ze względu na sponsorów, bo sfera medialna jest teraz bardzo modna, komentują wszystko, opisują każdy dzień. Przyznam, że ja nie chciałabym być tak na talerzu, żeby każdy mógł wiedzieć, co w danej chwili robię. Co prawda nie chowam się górach, ale chcę mieć tam spokój i po prostu świadomość, że nie jestem śledzona, monitorowana, tak bym to ujęła.

Tamta epoka polegała głównie na tym, że nie mieliśmy zazwyczaj żadnych sponsorów, a większość pieniędzy uczestnicy wyprawy „wymarowywali” na kominach. Działania te organizowały kluby, albo jakieś stowarzyszone grupy. Nie istniały jeszcze firmy zajmujące się robotami wysokościowymi, dlatego też malowali kominy i remontowali hale fabryczne tylko alpiniści. Potem te pieniądze w charakterze dotacji do wypraw kluby nam oddawały, ale tak naprawdę były to nasze ciężko wypracowane pieniądze, bo rzadko kiedy GKKFiT wpierał nas niewielką dotacją. Natomiast teraz większość wypraw wyjeżdża w oparciu o sponsoring. Może i stąd się bierze ta medialność, bo po prostu sponsor chce wiedzieć, na co dał pieniądze.

### **Wśród szerszej publiczności jesteś też znana jako dawczyni szpiku. Czy twoja działalność górską wpłynęła na oddanie szpiku?**

Owszem, wpłynęła o tyle, że od wielu lat wspinając się czułam, że zaciągam potężny kredyt, ponieważ idąc w góry wielokrotnie przekraczam granice bezpieczeństwa. Widać to na przykładzie zejścia z K2 w 1986 roku drogą *Magic Line*. Ledwie uszliśmy z życiem, czułam więc taki dług względem opatrności, że naciągam tę opatrność, a ona daje mi tak dużo, więc chciałam się w jakiś sposób zrewanżować. Zejście z Everestu w 2000 roku też było bardzo ryzykowne i obciążone ogromnym niebezpieczeństwem. Wtedy pomyślałam, że czas na konkretne działania z mojej strony. Co prawda nie mogłam oddać nerki, bo nie mogłabym się dalej wpinać, ale mogłam oddać szpik. Co prawda od 20 lat byłam krwiodawcą, ale uważałam, że to trochę za mało. Tak zrodził się pomysł. Zgłosiłam się do banku dawców. Powiem szczerze, że przyjęto mnie trochę z problemami, bo już wiekiem odstawałam od ludzi młodych i zdrowych, figurujących w tych rejestrach, ale w końcu zostałam zapisana. Po kilku latach oddanie szpiku też sprawnie przebiegło, więc muszę powiedzieć, że do dziś jest to dla mnie prawdziwym źródłem dumy i radości. Było to dla mnie zupełnie inne ratowanie życia. Bo gdy w górach się coś złego zdarzy, to biegniemy i staramy się takiego kogoś uratować, wyciągając go ze szczeliny czy też podając mu tlen. Natomiast tu było to coś zupełnie oderwanego od bieżącej sytuacji. Przecież ja nie musiałam tego robić, nikt mnie też do tego nie nakłaniał, nawet nie stał nade mną jakiś kodeks etyczny, że trzeba udzielić komuś pomocy. Nic. Po prostu sprawił to mój

niecو idealistyczny pomysł, że właśnie tak się góróm odwdzięczę, i mam nadzieję, że tak się stało.

Dokładnie odbywało się to tak, że po kilku latach figurowania w rejestrze zostałam wytypowana jako dawca dla młodej dziewczyny. Wtedy nie wiedziałam, kto to jest, bo takie są reguły, że nie może się dawca z biorcą poznać tak od razu, możliwe jest to dopiero po paru latach, gdy wszystko dobrze przebiegnie. Ponieważ w tym przypadku przebiegło wszystko idealnie, to udało mi się poznać moją biorczynię. Jest to młoda dziewczyna, mająca teraz pewnie 27 lat, także mam taką genową córeczkę a zrazem wnuczka, bo ona ma sześciolatniego Maciusia. Wszystko poszło tak, jak sobie wyobrażałam, jest to dla mnie źródło radości, dalej działałam w górach, nic mi to nie zaszkodziło, także nie mogę się uskarżać. Opatrzność, jak sądzę przyjęła to, jako mój dowód wdzięczności, więc mam nadzieję, że kupiłam sobie w ten sposób bezpieczeństwo na najbliższych parę lat.

Teraz jestem wolontariuszem w fundacji ALF, uczestniczę w akcji, która nazywa się „Życzenie Agaty”, dla upamiętnienia pamięci polskiej siatkarki Agaty Mróz, która zmarła po przeszczepie. Jej akurat się nie udało, bo jest to jednak działanie obarczone sporym ryzykiem, nie wszyscy biorcy po otrzymaniu szpiku przeżywają, taka jest smutna prawda. Ja zaś zostałam uhonorowana nagrodą w pierwszej edycji akcji mającej na celu popularyzację oddawania szpiku, która odbywa się od trzech lat. Nagroda jest przyznawana temu, kto w szczególny sposób przyczynił się do popularyzacji dawstwa szpiku. Ponieważ uznano, że moje oddanie szpiku było na swój sposób spektakularne, bo zaraz po oddaniu szpiku pojechałam na wyprawę, więc się media tym zainteresowały. W drugiej edycji laureatem został Maciej Stuhr, a w trzeciej pani profesor Chylicka i Nergal. On zapewne dlatego, że nie krył się z tą chorobą, tylko o niej mówił, i też w jakimś sensie spopularyzował potrzebę oddawania szpiku. Bo co tu dużo mówić, w Polsce jest rozpaczliwie mało tych dawców. A ja jako wolontariusz mam za zadanie to popularyzować. I robię to z równym zaangażowaniem, jak wspinam się w górach.

### **Czym dla ciebie jest ta książka?**

Cała seria z cyklu *GórFanka* cieszy mnie dlatego, że udało mi się zapisać choć fragment polskiej działalności alpinistycznej w górach. Nie tylko mojej, ale i polskiej, a tak naprawdę światowej, bo przecież piszę też o wyprawach i ludziach z innych krajów, których tam spotykałam. I to mnie cieszy, że w postaci książek jakiś ślad po tych wydarzeniach zostanie. Oczywiście nie jestem wspaniałym literatem, ale ludzie czytając to mówią: „Wiesz, myśmy nie wiedzieli, że to było tak fajnie”. Mam wrażenie, że czytelnicy naprawdę sporo się o kulisach tego dawnego wspinania dowiadują, szczególnie z ostatniej książki, która jest przekrojem mojej wieloletniej działalności w Karakorum. Daje mi to poczucie zrobienia fajnej rzeczy, którą udało

mi się zrealizować, oczywiście wspólnie z wydawcą.

Wielu ludzi dopiero teraz dowiaduje się, że oprócz Everestu są też inne góry stanowiące ważny cel alpinistyczny. Dla ludzi młodych taki 1985 rok to czysta magia, bo ich jeszcze na świecie nie było. Skąd więc mają wiedzieć, że jakieś tam kobiety zrobiły pierwsze kobiece wejście na Nangę Parbat? Gdy więc to czytają, naprawdę doceniają nasz wysiłek i zaangażowanie, bo widzą, że nie było nam tak łatwo. Mam wrażenie, że po przeczytaniu tej książki patrzą na mnie wręcz z szacunkiem. Choć tego akurat nie wymagam i nie chcę być traktowana jak stara szafa, to czasami zdarza się, że podchodzą do mnie i mówią: „Wiesz Anka, szacun, bo żeście naprawdę ostro zasiekały”. Widzę, że książka generalnie się podoba, być może też ze względu na nieformalny język, taki, jakbym to opowiadała na spotkaniu w schronisku. Na pewno nie jest to literacki poziom, ale ludziom to pasuje. Może dlatego, że teraz ogólnie panuje moda na prostsze formy. Generalnie nikt mi jeszcze nie powiedział, że książka jest zła. Może ktoś sobie tak pomyślał, ale nigdy nie słyszałam krytyki, że w ogóle nie warto było. Każdy coś tam dla siebie znajduje. Więc chyba warto po nią sięgnąć...

przygotował: Roman Gołędowski

[Część pierwsz artukułu](#)

[Wkładka 1](#)

[Wkładka 2](#)

[Wkładka 3](#)

[Wkładka 4](#)

[Wkładka 5](#)

[Wkładka 6](#)